Nr. 1 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 stycznia 1931 | Rok 53



ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Nr. 1 We Lwowie, 1 stycznia 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

NA ROK NOWY

Po ciężkiej, spowodowanej straszliwą w roku 1928 na 1929 zimą klęsce, zwierzyna nasza dzięki korzystnym warunkom atmosferycznym ubiegłego roku, dzięki zapobiegliwości gospodarskiej naszego ogółu myśliwskiego, a także dzięki stosownym zarządzeniom naszych, tak zawsze dbałych o rozwój łowiectwa Władz Administracyjnych, wraca szybko do normalnego stanu. Trzeba jednak jeszcze oszczędzać nadal w naszem łowieckiem gospodarstwie i nie żałować trudów. W wschodniej połaci naszej dzielnicy, szczególnie w Województwie Stanisławowskiem zając a głównie kuropatwa potrzebują długo jeszcze specjalnej ochrony i opieki.

Ciężki kryzys ekonomiczny, jaki obecnie przeżywamy, odbija się bardzo niekorzystnie na finansach naszego Towarzystwa. Chcemy jednak zwyciężyć i przetrwać te wszystkie trudności, ale do walki nieodzowną nam jest wydatna pomoc ogółu! Tymczasem ogół wobec naszych najlepszych chęci i zmagań się ze złem, zachowuje się biernie. Wkładki członkowskie, tak minimalne, że nawet w dzisiejszych warunkach, nie mogą najmniej zamożnym czynić w budżecie różnicy, o ile tylko regularnie je uiszczają, wpływają do naszej kasy w 30-stu zaledwie procentach, i to po kosztownych, energicznych urgensach. Dziwić się doprawdy trzeba, że tak u nas utrzymanie Towarzystwa, które tyle dla idei łowieckiej pracuje i tyle ma zasług za sobą, nie budzi zainteresowania. Nie dopuścimy wszak naszą biernością do roztrwonienia półwiekowego dorobku i nie przekażemy następnym pokoleniom dokumentów naszego niedołęstwa!

Dziś, wkraczając w rok nowy, żądać musimy od naszych Delegatów i Członków wydatnej współpracy! Akcja Ich musi iść w dwu kierunkach:

1. Wpłacanie wkładek członkowskich, tak bieżących jak i zaległych.

2. Jednanie nowych, poważnych i solidnych Członków Towarzystwu.

Do Delegatów naszych gorąco apelujemy, by chcieli jaknajszczerzej sprawami temi się zająć; teraz to czas polowań, zebrań — najwięcej na propagandę jest sposobności.

Przy zmianie roku, zasyłamy Łowcom naszym serdeczne, lepszej przyszłości, życzenia.

Cześć św. patronowi Łowiectwa!

REDAKCJA

JULJUSZ Hr. BIELSKI

Łowiecki tydzień w Paryżu

W dniach 5—10 listopada b. r. odbył się w Paryżu Kongres Międzynarodowy Łowiecki, którego przebieg, korzystając z gościnności na łamach obu „Łowców" mi użyczonej, w krótkości pragnę tu streścić.

W początku sierpnia b. r. otrzymałem z Paryża zaproszenie do wzięcia udziału, w charakterze reprezentanta łowiectwa polskiego, w kongresie łowieckim w Paryżu, którego celem było założenie międzynarodowego Związku łowieckiego, przyczem Komitet organizacyjny w Paryżu prosił mnie o zamianowanie na wspomniany kongres ośmiu delegatów z Polski. Zaproponowałem na delegatów hr. Jerzego Potockiego i hr. Adama Zamoyskiego z Krakowa, pozostawiając mianowanie reszty delegatów Związkowi Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Myśl założenia w Paryżu międzynarodowego Związku łowieckiego, już od lat kilku w kołach łowieckich tamże poruszana, związku, który siecią swych organów cały świat łowiecki miałby objąć, dzięki organizacji i energji pana Maxime Ducrocq, miała nareszcie się urzeczywistnić. Pan Maxime Ducrocq, znakomity myśliwy, zastępca Prezesa łowiectwa Francji, hrabiego Clary, stanąwszy na czele Komitetu organizac. przyszłego Związku, zdołał w krótkim stosunkowo czasie nakłonić do tej akcji aż 23 państw, które na kongres swych delegatów do Paryża mianowały. By podkreślić powagę i znaczenie kongresu, przytoczę parę nazwisk z ogólnej liczby 115 delegatów, a więc: Jego Królewska Wysokość Mikołaj Rumuński, Ks. Ludwik Monaco, Hr. Meranu, Ambasador Chłapowski, Ekscelencja M. Grünberger, poseł nadzwyczajny i upełnomocniony minister z Austrji, Eksc. Gen. Mannerheim, Ex. regent Finlandji, Książęta Ratibor i Adolf Fryderyk Meklemburski, Roosevelt ze Stanów Zjednoczonych etc.

Przyjechawszy do Paryża 5 listopada, byłem 6-tego rano w kancelarji przyszłego Związku przy rue De Clichy 21, gdzie poznałem hr. d'Adix, prawą rękę pana Ducrocq, z którym w ciągu jesieni przeprowadziłem już poprzednio wzajemną korespondencję w sprawie zaproszeń od Księżnej d'Uzès, które we Lwowie otrzymałem, do wzięcia udziału w dniu 8-ego listopada w polowaniu par force na jelenia, a na zapytanie, czy chcę na dzień tych łowów konia wierzchowego, czy auto, wybrałem przezornie auto. Prócz tego na 9-ego listopada otrzymałem zaproszenie na polowanie w lasach Rambouillet odbyć się mające, na bażanty, zające i króliki, przyczem ofiarowano mi wszelkie ułatwienia przy przewozie mych strzelb.

Po południu 6-ego zebraliśmy się w liczbie kilkunastu znanych przedstawicieli łowiectwa, stojących w poszczególnych państwach na jego czele, u Pana Ducrocq, celem porozumienia się co do plenarnego posiedzenia kongresu, mającego się odbyć w dniu 7-ego listopada i ułożenia pewnego porządku dziennego dla tegoż kongresu. Na prezesa Związku desygnowano pana Maxime Ducrocq, a na wiceprezesów, reprezentantów łowieckich państw najwyżej stojących pod względem łowieckim lub mających na tem polu najwięcej zasług. Celem zaś unikania zadraśnięcia ambicji któregoś z państw na kongresie reprezentowanych, przyjęto zasadę, że wiceprezesi piastują swój urząd tylko do przyszłych plenarnych obrad co trzy lata zebrać się mających, na których składają swe mandaty, a w miejsce ustępujących, z państw, które nie miały wiceprezesa, losem wybiera się taką samą ilość wiceprezesów i tak kolejno przy każdem plenarnem zebraniu, w ten bowiem sposób wszystkie państwa będą mieć kolejno reprezentantów swych w Prezydjum Związku. Po ustaleniu też programu prac Związku na najbliższą przyszłość odbył się duży raut w gościnnych apartamentach państwa Ducrocq, na którym delegaci wraz z żonami zapoznawali się między sobą, a na miłej pogawędce o wspólnych myśliwskich przygodach szybko czas zeszedł.

Nazajutrz, to jest 7-ego listopada, o godzinie 10-tej i pół rano, zebrał się Kongres we wielkiej sali obrad Ministerstwa Roln. przy rue de Varenne pod przewodnictwem Ministra Rolnictwa, po którego zagajeniu następuje jako punkt pierwszy wybór Prezydjum Związku, już przez Kongres akceptowanego. — Pan Maxime Ducrocq wybrany Prezesem Związku (Conseil International de la Chasse), do Prezydjum, jako wiceprezesi wybrani między innymi: Ks. Ratibor, delegat z Niemiec, hr. Esterhazy z Węgier, Hr. Colleredo Mansfeld z Austrji, ja z Polski. — Po uchwaleniu statutu Związku „en bloc" ustalono program prac mających się przeprowadzić na najbliższem plenarnem posiedzeniu, w ostatnich dniach maja roku 1931 w Paryżu. Prace te mają ustalić: 1) Międzynarodową opiekę nad ptactwem przelotnem, w pierwszym rzędzie uwzględnioną ma być przepiórka i słonka. 2) Uregulowanie importu i exportu zwierzyny żywej i zabitej. 3) Ułatwienia celne przy przewozie zwierzyny, obowiązujące państwa w Związku zrzeszone.

Po południu o godz. 5,45 Prezydjum Związku zebrało się w hallu hotelu Claridge, a kilka minut przed 6-tą przybyły po nas auta z pałacu Elizejskiego, dokąd udaliśmy się jako Prezydjum Związku. Audjencja u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Doumergue trwała przeszło kwadrans. — Tego samego dnia o 9-tej objad dla delegatów w salach Claridgeu na 124 osób, dany przez Ministerstwo Rolnictwa i Komitet Organizacyjny Związku, prezydowany przez Wice-ministra Rolnictwa. Szpaler „de la Garde Municipale" jako „la garde d'honneur" w galowych mundurach. Przygrywka idącym do stołu, fanfara 24 picqeurów na myśliwskich rogach. — Pierwszy toast Wice-Ministra na pomyślność Związku i odpowiedź Pana Ducrocq, jako Prezesa Związku. Po licznych toastach ze strony urzędowych osobistości, ostatni toast wzniesiony przez J. K. W. Ks. Rumuńskiego w imieniu delegatów.

Nazajutrz zaproszony do auta państwa Maxime Ducrocq, wraz z nimi, w pochmurny niestety ranek na pół

do 10-tej z Paryża przez Wersal, zdążyliśmy do zameczku Księżnej d'Uzès, do Bonnelles. Księżna pomimo 84 lat, w polowaniach „par force“ bierze jeszcze dotąd udział, niestety przed kilku tygodniami, prowadząc swe auto, uległa wypadkowi i z powodu złamania dwóch żeber nie mogła konno brać udziału w polowaniu. Nie przeszkodziło to Jej jednak towarzyszyć w aucie przez dzień cały łowom i być obecną, tak przy hallali, jak też przy „la Curée“.

W zamku Bonnelles zostaliśmy przyjęci przez synowę i córkę Księżnej d'Uzès w salach trzech, zwanych „salles des trophèes“. Sale te o kamiennych podłogach przez dwa prawie piątra wysokie, mają sufity i ściany udekorowane rogami jeleni, w lasach Rambouillet sforsowanych; wszystkie poroża, nawet z ubiegłych wieków, słabe, dorównywające zaledwie słabym naszym nizinnym jeleniom.

W kościele zamkowym przy dźwiękach rogów kilkudziesięciu picqeurów, odśpiewana msza św. Huberta wedle ceremonjału z 13-tego stulecia, panie i panowie biorący udział w polowaniu konno, w strojach historycznych łowów „par force“, zgrupowani osobno w Presbiterjum. Podczas mszy św. „la bénédiction des pains“ i spożycie tychże. I patrząc na ten tak bardzo nastrojowy obraz, zdawać się mogło, że to sen z czasów Ludwików, że za chwilę wejdzie le Roi Soleil z całym dworem!

Po ceremonji kościelnej zgromadzamy się na podwórzu zamkowem. W głębi, naprzeciw bramy wjazdowej „la Maitresse de l'Equipage“ Księżna d'Uzès, po obu stronach Jej auta trzymane na sforach psy w dwu grupach, po lewym boku dziedzińca osiodłanych przeszło 40 koni a przed nimi panie i panowie, biorący udział w polowaniu konno. Naprzeciw po prawej stronie dziedzińca delegaci Związku, przy bramie wchodowej mnóstwo publiczności, przybyłej z Paryża i okolicy. „L'ouverture de la Chasse“, zwana „L'ouverture de St. Hubert“, zwykle w dzień św. Patrona łowiectwa obchodzona, w tym roku dzięki niesłychanej uprzejmości Ks. d'Uzès na 8-mego listopada przełożona, by delegaci Związku w polowaniu udział brać mogli, jest rodzajem narodowego święta, na które zjeżdżają setki osób z Paryża, by łowom i uroczystości się przypatrzeć, chociaż w łowach bezpośredniego udziału, jako niezaproszeni, brać nie mogą. I znowu następuje nastrojowa chwila, cofająca nas w czasy Renesansu, gdy na dziedziniec zamkowy wchodzą przez główną bramę trzej księża w ornatach i przy asyście ministrantów stają w środku dziedzińca. Picqeur'y podprowadzają psy i następuje „la benediction de la meute“. A jest to najsławniejsza meute'a całej Francji, która na wszystkich wystawach łowieckich świata utrzymała się na pierwszem miejscu.

Picqeur'y trąbią „aux champs“ i następuje wyjazd na łowy. Psy z hundsmanami na przedzie, Księżna d'Uzès w aucie, poprzedzająca konno jadących, a wreszcie my w autach. Po dwunastej następuje „le lancer“ i za jeleniem 12-takiem zaczyna się pościg. My w autach dwukrotnie zdala zdołaliśmy widzieć jelenia i gon psów, a tuż za niemi myśliwych. — Po dwóch godzinach jeleń stawił psom chwilowy opór w stawie, poczem już niedaleko nastąpił ostatni akt tragedji, hallali.

Zabawny widok przedstawiał się, gdy Paryżanki w cieniutkich buciczkach i krótkich spódniczkach przez mokre, metrowej wysokości wrzosy biegły na przełaj lasem, by się najszybciej dostać do miejsca, skąd odgłos rogów zwiastował, że jeleń umiejscowiony. Po obieleniu jelenia, „la Curée“, przy której dwie grupy picqeurów na rogach myśliwskich otrąbywały koniec łowów, podając jedna drugiej ostatnią zwrotkę pieśni.

Po pożegnaniu się i podziękowaniu dostojnej Pani łowów za niezapomniany ten dzień, powrót do Paryża, późnym bardzo wieczorem.

9-tego listopada w trzech grupach myśliwych urządzono polowanie na drobną zwierzynę: bażanty, zające i króliki w lasach Rambouillet dla delegatów Związku, u Panów Senatora Ménier, referenta łowiectwa w Senacie i Prezesa du groupe de la chasse au Senat, Senatora Lederlin i pana Elby. — W każdej grupie około 15 myśliwych. W polowaniu tem udziału nie wziąłem, znużony pracą na posiedzeniach dni poprzednich i odniesionemi wrażeniami, nie chciałem mierzyć się z najlepszymi strzelcami do bażantów. To też z prawdziwą radością słuchałem opowiadania mego towarzysza z Polski Adama hr. Zamoyskiego, gdy mi wieczorem donosił, że dnia tego z wszystkich trzech grup wysunął się na pierwsze miejsce, zabijając 168 sztuk; najbliżej mu był hr. Palffy ze 125 sztukami.

Następnego dnia wracałem już do Polski, unosząc niezatarte wspomnienia i wrażenia z tego tygodnia łowieckiego i głębokiej wdzięczności za tak ujmującą gościnność nam w Paryżu okazaną. — Dominującem jednak wrażeniem, które odniosłem, była powaga i najdalej idąca życzliwość okazywana łowiectwu przez Rząd Rzeczypospolitej francuskiej i całe społeczeństwo, co też miało wyraz w splendorze przyjęć i całego przebiegu tych dni. W tych warunkach można bardzo wiele zdziałać. — Kończę życzeniem dla Związku najświetniejszej przyszłości i pożytecznej dla łowiectwa światowego działalności.



O zmianę mentalności

(W sprawie rykowiska jeleniego)

My walczymy o zmianę mentalności naszych najtęższych łowców karpackich w kierunku ochrony rykowiska, przytaczając rzeczowe uzasadnienia, a abstrahując od osobistej polemiki, w którą, jak podniósł p. Prezes M. T. Ł. na zjeździe ostatnim, mogłaby się wyrodzić wymiana zdań, adresowana wciąż osobiście.

Jednak tym razem, wobec powtarzania się twierdzenia („Łowiec“ str. 340 z 1930), iż „ani słowem nie pokusiłem się o zbicie rzeczowych argumentów, ale w niezmiernie zawiłych zdaniach zajmuję się nie jeleniem, a jego obrońcami...“, pozwolę sobie poprosić, aby Szanowny Autor tego mnie tyczącego zarzutu, zechciał uważniej czytać nasze artykuły, a znajdzie na swe zarzuty („Łowiec, str. 170-1 z 1930) odpowiedzi w „Łowcu“, np. str. 288, czy 315 ex 1930.

Z opinją tyle poważnego myśliwego, jak p. Prof. A. Sołowij („Łowiec“, str. 340 z 1930) naturalnie się zgadzam w głównym punkcie, bo i ja twierdzę, że trzeba się więcej rewirem zajmować i więcej w nim siedzieć (czyto osobiście, czy przez łowczych), to będzie można dostać „kapitalnego“ poza rykowiskiem. Taksamo zgadzamy się na potrzebę zmiany przepisów pewnych w ustawie łowieckiej.

Jak długo jednak mentalność naszych łowców uważa za zgodną z logiką ochronę choćby najmarniejszej zwierzyny w porze godowej, przy odstrzale najcenniejszej w tej właśnie porze — dlatego, że myśliwy nie ma czasu szukać jej, gdy się sama nie zamelduje, — jak długo panuje dzisiejsze pojęcie „hodowcy“ tej najszlachetniejszej zwierzyny, godzącego się z twierdzeniem, że „bez łowów w rykowisko, rewiry karpackie byłyby opuszczone przez myśliwych i personal i stałyby się pastwą kłusowników“, — jak długo panowie Oponenci naszej tezy pytają się jeszcze wciąż „w jakim celu tak uparcie chcemy Im ochronę rykowiska narzucić“, — tak długo nie ma mowy o prawdziwej hodowli jelenia karpackiego.

Tu rozbiegają się nasze drogi obrońców rui jako głównego aktu prawdziwej hodowli wszelkiej zwierzyny — od dróg wyznawców dzisiejszych łowów rykowiskowych.

O zmianę powyższej mentalności — my właśnie walczymy.

Perehińsko, 20 listopada 1930.

Dr. Władysław Burzyński



STANISŁAW KORWIN-MILEWSKI

Czar minionych lat

Dokończenie.

A potem obok tych najsilniejszych wrażeń młodości przypominają mi się dalsze łowy, na których jako całkiem młody bywałem myśliwy, a więc przepyszna knieja w Podhorodźcach, gdzie w rewirze Sopot dzięki zaproszeniu kochanego gospodarza, Pana Kazimierza Agopsowicza pierwszego dzika w mojem życiu ubiłem, wspomnę prześliczne, zwykle 3 dni trwające łowy u Dra Michała br. Moysy w Rudnikach, które nas młodych wtedy nietylko wspaniałością kniei i mnogością zwierza przyciągały — przepiękne polowania w Zagrobeli, które w tych czasach dzierżawił mój wuj śp. Stanisław Jędrzejowicz z Jasionki, przypominają się piękne polowania w Budach Głogowskich u śp. Dra Władysława Sołowija, polowania w Czarnołożcach i Kulińcach u Państwa Adamów Ścibor-Rylskich, polowania u p. Zdzisława Ładomirskiego w Markowcach, u p. Ludwika Wiszniewskiego w Horychladach i tyle innych.

O ile nastrój w kniei był na polowaniach urządzanych przez śp. Dra Tadeusza Sołowija zawsze ogromnie poważny, o tyle humory przy śniadaniu przed wyruszeniem do lasu i po polowaniu były zwykle bajeczne. Świetnym dowcipom, żartom i anegdotom myśliwskim nie było końca. Panował tam także taki „zwyczaj“, że kto się spóźnił na śniadanie przed łowami, a więc każdy niepoprawny śpioch, był witany potężnym a bardzo niemiłym dla niego hymnem przez resztę towarzyszy. Delikwent musiał się z towarzyszami oczywiście przywitać, a jak długo chodził koło stołu, witając się z nimi, tak długo mu oni śpiewali. Każdy z nas obawiał się więcej spóźnienia, niż śmierci.

Nigdy nie zapomnę jednego wesołego epizodu z tych czasów. Pierwszorzędny myśliwy p. X. był zmuszony z powodów dla mnie niewiadomych zaprosić raz na polowanie na dziki jakiegoś burmistrza, czy weterynarza, bo dziś już dobrze rangi tego pana nie pamiętam. Gdy jechaliśmy do lasu, dziwnie zatroskany, przezacny gospodarz wyrażał wobec nas swe obawy, by ten „Nemrod przed Panem“ nie zrobił w kniei jakiegoś głupstwa, czy zgoła nawet nieszczęścia. Nieszczęścia nie było — ale kawał niesłychany ten jegomość gospodarzowi urządził, bo ni mniej ni więcej tylko w czasie ochronnym wygarnął dwa razy do jeleni defilujących sobie spokojnie koło jego stanowiska. Strzały na szczęście chybiły, ale

KAZIMIERZ WYSOCKI

Do Artykułu Dr. A. Sołowija

(Łowiec Nr. 22 ex 1930)

Artykuł p. Dr. Adama Sołowija „W sprawie ochrony jelenia w Karpatach", utwierdził moją wiarę, że nadejdzie czas, iż poglądy, dotyczące gospodarki łowieckiej odnośnie do jeleni karpackich, głoszone dziś przez niewielu myśliwych, znajdą pełne zrozumienie i u tych, u których czas rykowiska jest jedynie odpowiednią porą polowania na jelenie.

Wszak Dr. A. Sołowij, myśliwy pierwszej klasy, bo ze szkoły poturzyckiej, której przodownikiem był ś. p. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, wyraźnie przyznaje, że zachodzi konieczność unormowania odpowiedniemi przepisami odstrzału jeleni i oddawanie rewirów jelenich tylko takim hodowcom-myśliwym, którzy zasługują na to. Żądania nasze pokrywają się w zupełności koniecznością, wypowiedzianą we wniosku Dr. A. Sołowija, bo my żądamy tak samo jak On odnośnie do jeleni karpackich, aby gospodarka łowiecka była racjonalną i aby karpackie rewiry łowieckie spoczywały w rękach niezawodnych hodowców. Dobry gospodarz łowiecki nie potrzebuje ani ustawowo unormowanych czasów ochrony, ani zakazów odstrzału łań, sarn, czy młodzieży, bo cokolwiek on przeznaczy do odstrzału, to będzie niezawodnie tylko z korzyścią dla racjonalnej hodowli. Kiedy ten odstrzał nastąpi, to zależeć będzie od decyzji dobrego gospodarza, który będzie wiedział co i kiedy odstrzelić.

Gdyby na całym terenie naszych Karpat prowadzoną była wzorowa gospodarka łowiecka, to mybyśmy nie mieli obawy o przyszłość jeleni karpackich, o ich zdegenerowanie i nie mielibyśmy powodu do żądania ukrócenia prawa odstrzału w czasie rykowiska.

Tak jednak nie jest. Nie wszyscy posiadacze tych karpackich terenów, wzorują się na gospodarce myśliwskiej, prowadzonej na terenach łowieckich panów baronów Groedlów, a za niedostateczną ochronę przed kłusownikami i wilkami, każą sobie jeleniom płacić zbyt wysoką premję. Fakt ten stwierdza właśnie wniosek p. Dr. A. Sołowija — domagający się, nie bez powodu, wydania przepisów dotyczących odstrzału jeleni i oddania rewirów jelenich tylko niezawodnym hodowcom. Ważność i wartość tego wniosku należy ocenić faktem, że go postawił myśliwy znający bardzo dobrze stan i potrzebę jeleni karpackich, bo polujący przez 20 lat w Karpatach na jelenie.

Co do spowodowania ochrony kozic w Tatrach, przez wyjednanie premji w formie pozwolenia na ich odstrzał za otoczenie ich opieką i ochroną przeciw kłusownikom, to myślę, że wnioskodawca powinienby zwrócić się z tym apelem w pierwszym rzędzie do państwowej Rady Ochrony Przyrody i do Wydziału Małop. Tow. Łowieckiego. Zaadresowanie tej sprawy do przeciwników strzelania jeleni na rykowisku, jest mojem zdaniem, mylne.

Nie my uważamy jakąś zwierzynę za godną zaopiekowania się nią tylko i jedynie wtenczas, gdy nam wolno ją strzelać. My stoimy na całkiem innem stanowisku. My twierdzimy, że ten tylko ma prawo do zbioru, kto zasiał i zasiew otoczył opieką. Wychodząc z tego zało-

---

awantury, jaką mu zrobił po skończonym miocie spokojny zwykle gospodarz, na pewno ten pan przez całe życie nie zapomni. Nauka moralna: Nawet dla najważniejszych powodów nie zapraszać nigdy takich panów o kłusowniczych instynktach lub nieopanowanych nerwach do poważnej kniei. Starsi łowcy dokuczali bardzo potem gospodarzowi za tego „towarzysza".

Raz znowu na wielkiem polowaniu przestrzeliwało się dwóch rywali. Byli to powszechnie znani i szanowani łowcy, pełni zawsze werwy i iście młodzieńczej fantazji. Św. Hubert na tem polowaniu równej dla obu użyczał łaski — do ostatniego miotu równą ilość sztuk mieli na rozkładzie. Już zmierzch zapadał, gdy kończył się ostatni miot. Wtem jak duch zjawił się przed jednym z rywali, kicając szarak; w tej samej jednak chwili drugi myśliwy, widząc ze zgrozą swą niechybną klęskę, zawołał do sąsiada głosem pełnym rozpaczy „Tire haut" — a ten zdetonowany podniósł nerwowo oczy w górę, szukając tam skrzydlatej zwierzyny. To wystarczyło — podstępny rywal sprzątnął mu dalekim strzałem kulowym zająca kicającego właśnie przez linję — zwyciężył. Przez dłuższy potem czas się o to gniewali, choć byli serdecznymi przyjaciółmi. Dla nas młodych, przyzwyczajonych do wzorowego porządku i karności panującej zawsze na tych polowaniach, tudzież bardzo poważnego nastroju, epizod ten był nielada zabawą.

Na arcypoważnych polowaniach były więc czasem i arcyzabawne epizody.

Jeszcze słów parę dorzucę ze wspomnień o rudzieńskich polowaniach.

Pierwsze moje łowieckie przeżycia łączą się z Rudną — bo tam spędziłem moje dzieciństwo, tam na wakacje szkolne jeździłem do wuja — tam wreszcie poraz pierwszy zacząłem polować, odbyłem moją „praktykę ze strzelbą". Polowanie w Rudnej oddał mi mój wuj Stanisław Dąmbski w roku 1907. Z największym zapałem pierwszej młodości zabrałem się wtedy do zorganizowania tego rewiru.

Z rozrzewnieniem przypominam sobie zawsze przepiękny toast, jaki na moją cześć, jako młodego gospodarza polowania wygłosił raz w Rudnej mój wuj śp. Stanisław Jędrzejowicz z Jasionki. Odpowiadałem mu wtedy z przepojonem wdzięcznością za jego słowa sercem. Mówiono, że odpowiedź się udała. Byłem tego dnia rad ze siebie i szczęśliwy — nic dziwnego — liczyłem lat 21.

Pamiętam i drugi epizod z tych pierwszych lat mojego myślistwa. Jeden z moich wujów, dobry myśliwy na widok wspaniałych parostków rogacza zdobytych

żenia pragnęlibyśmy aby zaistniała ustawa, pozwalająca odebrać prawo wykonywania polowania od tych posiadaczy obwodów łowieckich, którzy nie prowadzą racjonalnej gospodarki, to jest: którzy nie chronią zwierzyny przed kłusownikami i drapieżnikami, — którzy w czasie ciężkich warunków zimy nie dokarmiają zwierzyny i którzy odstrzału zwierzyny nie ustosunkowują do stanu zwierzyny — i oddać je, choćby to chodziło o własny obwód łowiecki, w dzierżawę myśliwemu, dającemu pełną gwarancję dobrego prowadzenia tej gospodarki.



ALBERT MNISZEK

DO ARTYKUŁU

O ochronie karpackiej najgrubszej zwierzyny

Dr. WŁ. BURZYŃSKIEGO

Sz. Autor słusznie stanął w obronie zagrożonego w swym bycie rodu niedźwiedziego w Karpatach. Ubicie w jednym sezonie, w dwu tygodniach, nie ośmiu, ale co najmniej jedenastu i to prawie samych młodocianych osobników w naszych górach musi niewątpliwie ujemnie odbić się na dalszym rozwoju tego królewskiego, wymierającego już w Europie zwierza. Jest to jednak, mojem zdaniem, wyjątkowy zbieg okoliczności, że tylu myśliwych w tym samym czasie z niedźwiedziem się spotkało, gdyż bogatego rozkładu tego w czasie jednego sezonu nie usprawiedliwia, niestety, liczebny stan tego zwierza w Karpatach, który jest dopiero na dorobku. Wszak, zdaje mi się, nigdy jeszcze w dawnych, błogosławionych nawet dla niedźwiedzi czasach, o których Szan. Autor w swym artykule wspomina, padały jeden, dwa a czasem nie padał żaden, podczas rykowiska. Nie można też winić za ten tegoroczny pogrom niedźwiedzi, myśliwych. Nie można się dziwić im, że wyzyskali te nieraz pierwsze, a może i ostatnie w życiu spotkania.

Zaznaczyć jednak muszę, że nie wszystkie ubite na ostatniem rykowisku niedźwiedzie oddały swe skóry na przypadkowem z myśliwym spotkaniu. Kilka zostało ubitych z zasadzki, przy umyślnie zastawionem padle. Nie jest to, mojem zdaniem, właściwy sposób zdoby-

---

przezemnie, zauważył szczerze: „taki młokos, to zawsze ma takie spotkanie". Słowa te zabolały mnie wtedy boleśnie, ale zniosłem je spokojnie, bo w duszy przyznać musiałem wujowi zupełną rację — znał moją metrykę, a spotkanie miałem wtedy często fenomenalne.

Wszystko przeszło jak sen.

O tych pierwszych rudnieńskich polowaniach boleśnie dziś wspominać. Z łowców, którzy w latach mojej młodości bywali u mnie na polowaniach w Rudnej, śpi dziś wielu snem wiecznym. Odeszli od nas na zawsze śp. Stanisław Jędrzejowicz z Jasionki, śp. Dr. Tadeusz Sołowij i jego brat śp. Dr. Władysław Sołowij, zmarł podczas wielkiej wojny, jako porucznik 2 austrjackiego pułku Ułanów śp. Wiktor Woyciechowski z Dąbrowej, padł w czasie wojny światowej śp. Edmund Ścibor-Rylski, zginął potem śmiercią walecznych w bolszewickiej wojnie nieodżałowany mój przyjaciel śp. rotmistrz Adam Sołowij, wielkie rokujący nadzieje, jedyny syn śp. Dra Władysława Sołowija, zmarł poczciwy leśniczy w Rudnej Aleksander Karczyński a w ostatnich czasach ś. p. nadleśniczy Leischner.

I pierwsi moi strażnicy łowieccy Wiercioch, Chmaj i Przybyła, zameldowali się już do służby u św. Huberta po tamtej stronie. Zasnął także na wieki śp. Jakób Trzeciak, fenomenalnie obrotny oficjalista w Rudnej, który mi nieocenione oddawał przysługi przy zdobywaniu polowań gminnych i przy organizowaniu polowań.

Smutno i pusto robi się dokoła.

Niesposób tu dziś wymienić tych wszystkich polowań, na których się w latach 1907—1914 bywało, tych wszystkich tu ludzi, których się wtedy poznało, u których zaznało się gościnności. Trzeba zamknąć stary dziennik łowiecki, wiernego przyjaciela, dawnych lat powiernika i skończyć o młodości gawędę.

* * *

Potem przyszły nowe przygody łowieckie, nowe polowania — a potem „Wielka Wojna" i przewroty — nadeszły nowe czasy i nowi ludzie. Lata młodości i pierwszych przeżyć łowieckich uciekają w dal... chwilami pogrążają się w opary zapomnienia...

Lecz kiedy czasem widok przepysznego praboru, potężne granie psów-dzikarzy w kniei lub pieśń koguta zasłyszana gdzieś na leśnym mszarze przypomni nam te dawne lata, lata szczęścia, lata naszej młodości — to we wspomnieniach szumi nam znowu rozgłośnie daleka puszcza, tajemniczy las oczarowuje znowu swym urokiem cudnym nieskończenie, przypominają się dawne łowy, dawni drodzy towarzysze... czar minionych lat.

wania niedźwiedzia. Ten zwierz królewski, jeżeli już ma polec, na inną, więcej rycerską śmierć zasługuje.

O ile mi wiadomo, Ministerstwo rolnictwa nauczone tegorocznem doświadczeniem i zaniepokojone o los królewskiego zwierza, nosi się z słusznym zamiarem wstawienia w przyszłych kontraktach polowaniowych w Karpatach klausuli znacznie ograniczającej i utrudniającej odstrzał niedźwiedzi. Słuszną jest uwaga Szan. Autora, kwalifikująca art. 48 nowego prawa łowieckiego — zakazujący strzelania niedźwiedzicy od niedźwiedziątek, ale wydający na łup strzelacza niedźwiadka. Tę szkodliwą i nielogiczną kodyfikację należałoby jaknajprędzej usunąć.

Przeprowadziwszy słuszną obronę niedźwiedzia karpackiego, schodzi jednak w dalszym ciągu Swego artykułu Sz. Autor do ulubionego swego tematu — ochrony byków na rykowisku i winą masakry rodu niedźwiedziego obciąża ten rodzaj łowów, wysuwając w ten sposób przeciwko niemu nowy argument. Czyni to Sz. Autor zupełnie niesłusznie, pomijając bowiem fakt, że tegoroczne gęste z niedźwiedziem spotkanie myśliwych podczas rykowiska w górach naszych było zupełnie przypadkowe i pewnie znów wiele lat upłynie, zanim się powtórzy, to zauważyć pozwolę sobie, że można polować w górach na jelenie, nie wyzyskując spotkań z niedźwiedziem. Można odstrzał tego ostatniego ograniczyć dobrą wolą i prawornością myśliwską, można go też ograniczyć lub całkiem zatrzymać postanowieniem prawnem. Polowałem nieraz już w rykowisko w Karpatach, w rewirach, w których odstrzał niedźwiedzia był zabroniony i mimo tego pobyt mój tam i akcja moja myśliwska na uroku nic nie straciły. Nowy ten argument Sz. Autora przeciwko tezie łowów rykowiskowych upaść musi i o swej słuszności przekonać nie może, gdyż łowy te uprawiane być mogą bez szkody dla niedźwiedzi. Wszak nie tylko w rykowisko spotykali myśliwi niedźwiedzia. Spotykali go też a nawet i ubijali niekiedy na wiosnę podczas tokowisk głuszcowych.

Uważam, że polemika prowadzona od dłuższego czasu na temat powyższy w obu naszych „Łowcach" powinnaby się już skończyć. Sprawa została już tak dokładnie przedyskutowaną, wszystkie argumenty i kontrargumenty wytoczone i omówione, że stanęła już na martwym punkcie; i ja nie poruszałbym już jej, gdyby nie jeden ustęp w artykule pana Dra Burzyńskiego, wywołujący niepomierne zdziwienie u mnie i pewnie też u wielu innych czytelników.

Ustęp brzmi dosłownie:

„Na zakończenie i tak już przydługiej rozprawy dzisiejszej, podnieść muszę jeden przykry fakt. Zbierając informacje o wyniku tegorocznych łowów w rykowisko, otrzymałem z jednej administracji latyfundjów karpackich konkretną cyfrę: „w jeleniach sztuk szesnaście(16), w tem kilka nader silnych". Zapytany przypadkiem w tej mierze mój stary znajomy, tamtejszy gajowy — okazał ogromne zdziwienie i podał ogólną cyfrę ubitych jeleni na pięć do sześciu, „a dwóch myśliwych odjechało z niczem!"

Ta niedokładność, a raczej sprzeczność, może jest tylko niewinnym zbiegiem okoliczności — ale należałoby przestrzec przed taką procedurą, gdyby temu podobne fikcyjne potęgowanie rozkładu, okazało się planowem podawaniem ręki — obrońcom odstrzału w rykowisko — gdyż stanowiłoby ono nierealny obraz stanu jeleni!!"

Ustęp ten jest dla mnie niezrozumiałym. Nie mogę dopatrzyć się w nim stosunku przyczyny do skutku. Fikcyjne potęgowanie przez kogoś liczby ubitych na ryku byków ma być obroną tezy tego rodzaju łowów? Myślałbym, że przeciwnie, nadmierny rozkład ich w danym rewirze może być właśnie przeciwnym argumentem.

Ale już wręcz dziwnem wydaje mi się wypowiedzenie się Sz. Autora w sensie rzucania podejrzeń na swych przeciwników w polemice o planową akcję wykorzystywania czyjegoś kłamstwa czy żartu dla obrony ich tezy. Nie chcę wypowiedzieć tu narazie sądu o tym nowym kroku polemicznym, zauważę tylko, że przeciwnicy Pana Dra Burzyńskiego nie potrzebują już wogóle bronić dalej swej tezy, gdyż ogół nasz łowiecki przeszedł już nad nią do porządku, a choćby tak nie było, to imać się tych środków nie mogliby, boby im godność osobista na to nie zezwoliła.

Wobec Niego walczyli oni w wiadomej polemice zawsze poważnie i lojalnie i mają też prawo żądać tegoż samego od Sz. Przeciwnika.

Pan Dr. Burzyński chce nam przemocą narzucić swą tezę, którą już odrzucił stanowczo cały nasz ogół łowiecki, dając temu wyraz w słowie i piśmie i uznając ją za nieziszczalną i za szkodliwą dla łowiectwa.

Nowy argument, że ofiarą łowów na rykowisku padło za wiele w Karpatach niedźwiedzi, i że choćby dlatego należy się tym łowom potępienie — jest ostatnim chyba już „cheval de bataille", na którego się przesiada nasz Sz. Przeciwnik po stracie wszystkich, których dotąd dosiadał.

Ale i ten koń Jego z Jego tezą padnie na pobojowisku, gdyż jak długo myśliwy szukać będzie w łowiectwie piękna (a nie mięsa i grosza), tak długo istnieć będą wysokie łowy rykowiskowe, ten najwyższy wyczyn sztuki łowieckiej, tak długo chodzić będzie on w puszczę, by czerpać u zdroju przyrody najszczytniejszych łowieckich wrażeń, by przeżywać na jej łonie co roku kilka „szczęśliwych dni".

Tezę swą winien P. Dr. Burzyński, choćby w imię karności łowieckiej, schować głęboko do teki, aby, jeśli zechce, przekazać ją następnym pokoleniom, gdyż obecne nie uznaje ją za realną.

Ponieważ P. Dr. Burzyński w pierwszej już swej replice użył w stosunku do mnie pewnych osobistych aluzyj, zarzucając mi w odpowiedziach nadmierną pewność tonu i sposób jakoby wypowiadania się „ex cathedra", zaznaczam, że zabieram tu głos li tylko jako członek — szeregowiec M. T. Ł., który ma na równi z innymi prawo wypowiadania się w organie Towarzystwa.

W. G. S.

Czy zwierzęta myślą?

Bardzo sympatyczny artykuł p. A. Chwaliboga w Nr. 23=cim „Łowca“ z dnia 1 grudnia 1930 r. skłonił mię do dorzucenia kilku słów na ten sam temat.

Mając przez długie lata sposobność do układania zwierząt, tresując konie użytkowe i psy myśliwskie, stwierdzam stanowczo, że zwierzęta obdarzone nader czułemi z wrodzonego instynktu pochodzącemi nerwa= mi — myślą.

Nie mogę sobie wytłumaczyć, ażeby koń, który przez długi przeciąg czasu nie wykonuje pewnych wyuczonych czynności, nie musiał pomyśleć, co ma w danej chwili na odpowiedni rozkaz, ruch, czy otrzymaną pomoc, wy= konać.

A cóż dopiero pies myśliwski!

Ileż on musi wyrazów, ruchów, pojąć, jak potrafi ba= dać usposobienie, ton głosu i humor swego pana! Tu niema szablonu. Każdy wypadek myśliwski jest inny. Każdy dzik inaczej zachowuje się przed psem; każda lisia, czy borsucza jama inaczej się przedstawia, każda słonka, kuropatwa, czy przepiórka w innych bytuje wa= runkach i stronach.

W cyrkach znaczną gra rolę przyzwyczajenie, melodja grana i kolejność wykonywanych sztuk, czy ruchów, to też jest dla prywatnego tresera pomocnem, gdy przy po= czątkach układania psów lub ujeżdżania koni, co dzień te same ćwiczenia w tej samej kolejności wykonywać każe; a dopiero po ukończonem wychowaniu, powi= nien zaryzykować na wyrywki różne, przez wychowy= wane zwierzę spełnić się mające rozkazy.

Przedłożę kilka przykładów z mojej praktyki na do= wód, że zwierzęta myślą, lub też, jeżeli ktoś chce unik= nąć tego słowa, kierują się niesłychanie czułym instynk= tem i pamięcią, które same przez się zmuszają do przy= puszczenia konieczności natężenia myśli w pewnym kie= runku.

Wyjeżdżam ze wsi w interesach do miasta. Nie wra= cam oznaczonym pociągiem i konie kilka razy wychodzą po mnie do miejscowej stacji. Gdy wreszcie przyjeż= dżam, oczekują mnie moje psy legawe „Tosca“ i „As“, kilkadziesiąt kroków od dworu, by w wesołych pod= skokach mnie przywitać. Zapytany furman, czy psy każ= dym razem mnie oczekiwały, daje odpowiedź że — nie. Późniejsza obserwacja dowiodła, że psy, przeczu= ciem wiedzione, oczekiwały mnie li tylko z chwilą rze= czywistego przyjazdu, a nie wychodziły naprzeciw, gdy zawiodłem.

Gdy wyjeżdżałem z domu, nieraz w codziennem ubra= niu, moje psy nie wskakiwały na wózek, jak zwykle, ale smutne, siedząc pod gankiem, śledziły mój wyjazd. Pewnie, że godziny wyjazdu, brak broni, spakowany kuferek, dawał pieskom do myślenia, że w mieście bez broni się nie poluje. — W niedzielę lub święta, gdy wy= chodziliśmy na nabożeństwo, psy, które stale towarzy= szyły mi przy pochodach, zostawały same w domu, choćby tylko za okazaniem im książki do modlitwy.

Miałem ciężko chorego legawca „Toma“, prawdopo= dobnie przypadkowo strutego. Musiałem wyjechać i po= zostawiłem go pod opieką żony, niezawodnej w opiece nad zwierzętami. Drugiego dnia po moim wyjeździe, Tom drapie do drzwi kancelarji, w której zwyczajnie przesiadywaliśmy. Wpuszczony przez moją żonę, pod= szedł do fotelu przy biurku, gdzie zwykle część wieczo= ru spędzałem przy pracy. Nie zastawszy mnie tamże, obwąchał szafę z bronią, przy której zawsze cieszył się, gdy wyjmowałem strzelbę na polowanie; podszedł do wieszadeł z torbą myśliwską i trokami, do których tyle zwierzyny przyaportował, a wypuszczony przez moją żonę do przedpokoju, padł nieżywy. Czyż ten pies nie myślał, nie szukał najdroższych wspomnień, czyż nie że= gnał się z tem, co miał w życiu myśliwskiem najukochań= szego?

Dostałem od Kazimierza Zbyszewskiego młodą foksi= cę „Hecę“, obdarzoną niebywałym wiatrem. Każdego lisa — ba nawet strzelanego — wypłaszała sama jedna z jamy. Polowałem z nią i z legawcem na buszówkę i w polu. Sekundowała wyżłowi fenomenalnie. Gdy mój wyżeł wystawiał zwierzynę, ona obkładała z przeciwnej strony z impetem i wypłaszała, głosząc, dane ptaszki ku mnie; a ewentualnego postrzałka w tej chwili dochodzi= ła. Zadaniem moich nóg, albo mego aportera swoją dro= gą było, by nienaruszoną jej odebrać zwierzynę.

W swoim czasie, a to już dawno, były modne mopsy, uchodzące za bardzo głupie psy. U mego stryja przecho= dził tor kolejowy tuż przy samym parku i było w zwy= czaju, że gdy ktoś z naszych przejeżdżał do pobliskiej stacji, wychodziło się na szkarp kolejowy w ogrodzie, aby się upewnić, czy przejeżdżający nie zawiódł.

Z czasem stworzył się zwyczaj, że przybywający miał obowiązek wyrzucić przez okno wagonu, jakieś cukier= ki, czy doborowe papierosy, aby oczekującym skrócić chwile oczekiwania.

Pewnego razu miał mój stryj powrócić z dłuższej se= sji parlamentarnej, a my chcieliśmy go przywitać przy przejeżdżającym pociągu w ogrodzie. Nadjechali goście i nikt z nas nie zdążył do pociągu. Stryj z paczuszkami w ręku wyglądał z okna pociągu, zobaczył jednak jedy= nie tylko dwa mopsy na zwyczajnem miejscu naszego postoju. Proszę mi wytłumaczyć? Czyż to nie przypa= dek? Głupie mopsy, przyzwyczajone do częstych tym podobnych ekspedycyj, naszemi przygotowaniami pou= czone, wybrały się same na przywitanie swego pana.

Mieliśmy kotkę, spędzającą miesiące zimowe naszej nieobecności stale w mleczarni, choć w lecie nigdy nas nie opuszczała. Za każdym naszym, nie częstym zimo= wym przyjazdem „Baśka“ na parapecie okna nas ocze= kiwała; zresztą nigdy w naszej nieobecności nie przesia= dywała we dworze, a tem mniej na zimnem przymurzu okna.

A teraz wypadek z ostatnich dni. U moich znajomych foksterjerka „Leda“ urodziła dwa foksiki. Nie małe by=

ły trudności, by uchronić gorącokrwistą Ledusię przed mezaliansem. Stały jednak dozór stworzył, że szczęśliwym ojcem był sam pan „Foks". Jedno z psiątek po 3 dniach ginie. Poleca się, by w sekrecie przed matką zakopać psiaka. Papa „Foks" widzi swego synka leżącego w krzakach; korzysta z chwili, gdy robotnik poszedł po łopatę, by chyłkiem rozglądając się na wszystkie strony, ująć pieska w pyszczek i kryjąc się pod ścianami, zanieść go do połogowej paki matki. Tam zadowolony ze swego bohaterskiego czynu siada; łapką matce a swej prawowitej żonie stara się okazać przywiązanie i dać dowód swojego ojcostwa. I znów zapytanie: Czy mimo braku poczucia ojcowskiego u domowych zwierząt „Foks" nie musiał „myśleć", że miejsce dla jego synka nie jest w zimnych, zwiędłych krzakach, lecz u piersi matki; a że nie uczęszczał na medycynę, chciał zimnego już psiaka ogrzać w ciepłej izbie na łonie matki.

Mógłbym na ten temat bajać bez końca, nie chcę nużyć czytelników, nie chcę narażać się Kochanemu naszemu Redaktorowi, — bo papier jest cierpliwy; ale to o czem tu ględzę, to tylko o psach.

A zwierzyna! A kto czytał pamiętniki Hagenbecka, lub opisy pełne myśli w zachowaniu się grubego zwierza, przy polowaniach w Afryce etc. (Potoccy, Wodziccy, Rosewelt), ten może coś o tem powiedzieć.

Z jakimże to premedytowanym planem mobilizacyjnym zakładają wilki obławę na swoją zdobycz. Z jakim sprytem zmawiają się psy, by wymknąć się nie widziane, każdy osobno, inną drogą w pole, gdzie się spotykają na umówionem miejscu na polowaniu.

A jaskółki zamurowujące skradzione im gniazdko przez wróble. To tych 10—20 jaskółek nie porozumiało się z sobą, nie obmyśliło, co należy czynić, szybko zniszczyć wroga, sobie pomagać, a wzajemnie nie przeszkodzić?

A kukułka pilnująca gniazd, gdzie swoje jajka złożyła i przemyśliwująca, czy cudzego pisklęcia już nie usunąć, by jej własne miało dość miejsca w gnieździe.

Nie przeczę, że obcowanie z ludźmi i pedagogja tychże, zwierzęta domowe na wyższy poziom możności porozumienia z nami podnosi (albo też obniża); ale w dzikim stanie natura sama zmusza tak zwanym instynktem zwierzęta do myślenia i mnie nikt nie przekona, że nieraz zadziwiające czyny zwierząt, począwszy od antyseptyki, a skończywszy na ochronie progenitury są wykonywane bezmyślnie.



JAROSŁAW HUBÁLEK

BUREK

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

Czy znacie ogromne, nieprzeniknione gęstwy „Lipowej skały"? Z pobliskiego grzebienia górskiego wicher strącał niekiedy jeden po drugim — mrozem lub wodą oderwane głazy trachitowe, aż utworzył się istny zator w dolinie. Zrazu przerastała go nieśmiało dzika malina, potem pokryła zupełnie gęstym splotem, gdzieniegdzie puściła się bujna leszczyna i bez dziki, wyśmignął wiotki grabek i dąbek krzepki i tak z latami powstało istne eldorado lisów, borsuków, wilków, żbików, ba i samego króla-rysia. Słoneczna gęstwa, cisza głęboka, wkoło głuche bezludzie — czegoż więcej potrzeba mieszkańcom puszczy? Spodem istny labirynt nor borsuczych, lecz spróbuj się do nich dostać myśliwcze! Chyba z pomocą ekrazytu... Bokiem onego zatoru ciągnie się szeroka rozpadlina. Od biedy, można na czworakach przecisnąć się przez nią. Kończy się w głębi kotliną o powierzchni czterech metrów. Idealny barłóg, chociaż o jednem tylko wejściu. Kiedyś, jeszcze przed rewolucją, zamieszkiwał go stary niedźwiedź, który z jednej z wypraw łowieckich o świcie nie powrócił do domu. Spiłowana kula kłusownika przecięła pasmo jego dni.

I.

Stara wilczyca, czując bliskość macierzyństwa, rozglądała się za odpowiednim barłogiem, przypadek zaś, czy instynkt doprowadził ją do „Lipowej skały". Zbadała dokładnie całe otoczenie, obwąchała wszystkie okoliczne ślady, każdy kamień, owietrzyła dawno nieużywaną ścieżkę, wijącą się opodal, a że było wszystko w porządku, postanowiła innej kwatery nie szukać. Oczyszczenie mieszkania nie było zbytnio uciążliwe i nie kosztowało wiele czasu — raz dlatego, że wilczyca nie była specjalnie zamiłowana w robieniu porządków, powtóre, nie jest rzeczą wskazaną zwracać na siebie uwagę nawet porządkiem. Ile to np. nieszczęść spadło na rodziny borsucze dzięki zamiłowaniu do porządku tych dziwaków? Albo liszka! Niby szczwana, frant nad franty, a jaka jednak głupia! Kto słyszał pozwalać dzieciom bawić się i przewracać po ziemi przed norą? Djabli przyniosą człowieka, ten zobaczy udeptane klepisko, trochę kału lub Boże broń kostkę albo skrzydełko i gotowe nieszczęście...

Dzieci — wiadomo — trudno utrzymać wciąż w domu, dobrze zatem, że przed barłogiem same kamienie; przynajmniej śladów na nich znać nie będzie. Bo, że ich człowiek nie poczuje, o to niema strachu, nos ma, Bóg wie, po co...

Wkrótce cztery maleńkie wilczki ujrzały światło dzienne; były to trzy suczki i jeden piesek.

II.

Minęło coś około miesiąca. Stara wilczyca miała o czem myśleć, wyżywienie bowiem jej samej i czworga żarło-

ków, zwłaszcza w porze, kiedy trzód jeszcze w góry nie wypędzano, nie było łatwem zadaniem. Jeleń zmienił już stanowisko i przeniósł się wyżej, sarn wogóle mało, zająca ze świecą trudno znaleźć. Wycieczki po lada jaki kęsek stawały się coraz dalsze, pod same niemal wioski. Rozjaśniło się w duszy starej matki, gdy pewnego razu zasłyszała w olszynach gminnego pastwiska głosy pastuszków. Uszy do góry! Zły czas minął! trzody już są w górach!

Tymczasem złe fatum zawisło nad wilczą rodziną. Staremu Mitrowi alias „Bezruczce“ ni stąd ni zowąd zginęła jałówka. Oczywiście ruszył w góry na poszukiwanie, uzbrojony baltynką (siekierką) i nieodstępną pypką — na nieszczęście, akurat pod „Lipową skałę“. Pypka zgasła, Mitro zatrzymał się, by ją znowu nabić, gdy w tem mignął mu między głazami bury cień wilka z młodem koźlęciem w zębach. Nieszczęście nigdy nie chodzi samo! Ledwie Mitro uczynił parę kroków, gdy niespodzianie natknął się na młodego leśnego, który niedawno objął ten właśnie rewir. Porozumieli się w kilku słowach i razem podążyli do barłogu. Wprawdzie śladów wilczycy na kamieniach nie było widać, leśnemu jednak wystarczyła jedna mała kapka krwi koźlęcia. W mig naznosili obaj kamieni i szczelnie zamknęli niemi wejście do barłogu, pewni, że stara jest w domu. Zawiedli się jednak. Wilczyca zdobycz zostawiła dzieciom i zdążyła opuścić legowisko w nadziei pochwycenia jeszcze jednego koźlęcia. Wracając z niem po dwóch godzinach, poczuła przy legowisku świeży wypar kilku ludzi. Tknięta złem przeczuciem położyła koźlę i ukradkiem, ostrożnie zbliżyła się do barłogu. Zdrętwiała. Ukryta w gąszczu, widziała ludzi kręcących się przy skalnej rozpadlinie, słyszała ich podniesione głosy, echa uderzeń twardych narzędzi o kamienie, widziała, jak mozolnie odwalają i rozszerzają wejście, a kieruje nimi czarny, ruchliwy człowieczek z zielonym kołnierzem i strzelbą na ramieniu. Wiedziała nieboga, co taka potrafi, od trzech lat bowiem nosi pod skórą kilka grubych śrutów z pompówki kłusowniczej. Ludzie — jak ludzie! Tychby się wilczyca tak dalece nie obawiała, wiedząc, że inteligencją nie grzeszą. Najbardziej niepokoił ją Wjas, kosmaty airedal-terrier. Zjeżył kosmaty włos, ciągnie się na smyczy i ostro naszczekuje... oczywiście czuje jej małe, a jeśli tak, to niema nadziei i niema zmiłowania! Jedno szczenię cichutko zaskomliło... Nie słyszeli go ludzie, lecz usłyszała matka — i niepomna na niebezpieczeństwo, odpowiedziała mu cichem zawyciem. Strzelec obrócił się błyskawicznie i nabój grubych loftek śmignął po liściach gęstego krzaka, pod którym przed sekundą stała wilczyca. Pewność, że starej niema w barłogu dodała odwagi ludziom i psu. Odwalono ostatni kamień i przed oczami myśliwych rozwarła się czarna czeluść wejściowa. Tymczasem stara, obłąkana bezsilną rozpaczą, biegała gąszczem opodal, wyjąc boleśnie. A w barłogu dramat dobiegał końca. Michał, chłop śmiały do zuchwalstwa niemal w Moszkowej karczmie — tu z pewną tremą posuwał się naprzód świecąc sobie i psu elektryczną lampką. Szczelina się odchylała na lewo — kończąc właściwym barłogiem. Michał stanął na chwilę — przed nim bowiem zapaliło się kilka par czerwonych ogników. Wjas jednak rzucił się naprzód, poczem kilka rozpaczliwych szczenięcych skowytów i Michał zaledwie zdążył uratować jedno jedyne wilczątko, któremu leśny wspaniałomyślnie darował życie.

III.

Czy można to nazwać wielką łaską, wątpię. Mały wilczek nie czuł się dobrze w niewoli, tęsknił biedak do ciepłej, matczynej piersi. Z miseczki nauczono go jeść okrutnem maczaniem noska w krowiem mleku. Było niesmaczne, wstrętne, brzuszek go po niem bolał; ale wyboru nie miał, nic innego nie było, a głód dokuczał.

A ci ludzie! Bez serca i bez litości. Biorą go wciąż za skórę, podnoszą, oglądają — aż raz nie mógł się wilczek opanować i porządnie ugryzł w rękę natręta. Raz znów ledwie go leśny wyratował z kłów Wjasa; mało już brakowało, życie wilczka wisiało na włosku.

Najsympatyczniejszą, jeśli w niewoli o sympatji wogóle można mówić, była mu maleńka Sławka, czteroletnia córeczka leśnego. Ona jedna nie dokuczała biednemu wilczkowi, nie biła, nie gryzła, jak Wjas, jeno godzinami siadywała u jego posłania, gładząc miękkie jego kudełki.

Jadł już wszystko, Sławka mu znosiła co mogła, rósł tedy i mężniał z dniem każdym. Wreszcie zmienił zęby i wtedy przestał się bać psa, po pierwszej kłótni o miskę. Wjas dyskretnie począł mu ustępować z drogi. Pomimo apetytu i obfitości pożywienia, był chudy; ale to już taka natura wilcza. Wilk może być w najlepszym razie muskularny, ale nigdy tłusty.

IV.

Niebawem zaszedł wypadek, który na losy wilczka miał mieć doniosły wpływ. Małe napozór nieporozumienie ze służącą Terką. Wszedłszy do pokoju z zabłoconemi łapkami, dostał od Terki szczotką po łbie, a obrażony tem śmiertelnie, wpił ostre kły w gołą łydkę dziewczyny. Leśny, chcąc widocznie pouczyć go batem, jak się ma zachowywać dobrze wychowany wilczek, wyniósł z tej lekcji w strzępy potargane spodnie i bolesną ranę na ręce — w następstwie czego, wilczek znalazł się przy budzie na mocnym łańcuszku. Schował się cały, głowę oparł na przednich łapach i dumał nad swym losem. Na podwórku pełno było kur, indyków i kaczek, a wszystko to wolne, bez obroży na karku i łańcucha, tylko on jeden więzień nieszczęśliwy. Dawny potulny wilczek przestał istnieć. Obity, sponiewierany i przykuty do piętna niewoli — wilk — dyszący zemstą nad człowiekiem i wszelkiem zaprzedanem mu w służbę stworzeniem, leży wprawdzie spokojnie, ale czeka na właściwą chwilę.



KORESPONDENCJE

Dunajów, dnia 13 grudnia 1930 r.

Niniejszem donosimy Sz. Redakcji o:

1) niecodziennym wprost fakcie, że leśniczy rewiru Stawczany-Obroszyn, p. Ludomir Czekoński, przyłapawszy w lesie dnia 6 b. m. niejakiego Kaczmarczyka Piotra na kłusownictwie, uzbrojonego w naładowany 5-ma nabojami karabin i sztylet, sam go w ciężkich warunkach rozbroił i oddał Policji.

2) Gajowy z leśnictwa Dunajów-Neściuki Paweł Skórski, przyłapawszy dnia 12 b. m. na kłusownictwie notorycznego złodzieja strzelb i kłusownika Bidaka, odebrał mu ją. Jest to już trzecia strzelba odebrana przez Skórskiego temu samemu kłusownikowi, bez ingerencji organów bezpieczeństwa.

Dyrekcja lasów
Arcybiskupstwa lwowskiego

Lwów, w grudniu 1930

W dniach 22 i 23 grudnia odbyło się reprezentacyjne polowanie Miasta Krakowa w lasach na Woli. Pierwszego dnia odstrzelono w 7 miotach, przy udziale 23 strzelb 165 zajęcy, zaś drugiego w 6-ciu miotach przy udziale 19 strzelb, 101 zajęcy. Prawie w każdym miocie były widziane sarny, których jednak nie strzelano.

Polowanie znakomicie, w najdrobniejszych szczegółach, przygotowane przez P. Nadradcę leśnictwa Wincentego Wobra, poprowadził energicznie kapitan Horoszkiewicz, doskonały myśliwy i celny strzelec, skoro w owych dwu dniach nie losując stanowiska, zdołał ubić 27 zajęcy, prawie bez pudła.

Polowanie zaszczycił Swą obecnością w pierwszym dniu, w czasie śniadania, Prezydent Miasta P. Rolle.

A. Sander

Stanisławów, 10 grudnia 1930 r.

Przedłużenie czasu ochrony, względnie zamknięcie polowania na niektóre rodzaje zwierzyny w roku ubiegłym, a także lekka zima 1929/30, dają już w bieżącym sezonie widoczne rezultaty.

Wprowadzona też przez Władze kontrola uchwał Wydziałów Spółek Łowieckich i badanie myśliwskich kwalifikacyj każdego kandydata na dzierżawcę polowania, łączą się tak w porę i tak dodatnio z rozszerzeniem czasu ochrony, że przy dalszem stosowaniu tego systemu, możemy się spodziewać wydatnej, a nawet rekordowej poprawy stanu naszej zwierzyny.

Ze względu na katastrofalne wprost rozkłady z polowań zeszłorocznych, nie podawałem statystyki minionego sezonu, a umieszczać ją będę stopniowo w roku bieżącym i podawać wyniki polowań Towarzystwa św. Huberta i Towarzystwa Myśliwych z osobna, z dwóch lat.

Towarzystwo Św. Huberta:

Kozina: Rok 1929/30 nie polowano z powodu bardzo nikłego stanu zwierzyny; — 1930/31 5 XI. 16 strzelb 1 lis, 21 zajęcy.

Bednarów pola: 1929/30 29 XI., 8 strzelb, 7 zajęcy; — 1930/31, 12 XI., 14 strzelb, 19 zajęcy.

Jezupol pola: 1929/30, nie polowano z powodów jak w Kozinie. — 1930/31 22 XI., 9 strzelb, 35 zajęcy, 1 lis.

Kryłos: 1929/30, 13 I., 10 strzelb, 12 zajęcy. — 1930/31, 28 XI., 18 strzelb, 12 zajęcy, 1 krogulec, 1 kot.

W tym rewirze zauważono tendencyjne wyniszczenie zajęcy przez kłusowników, prawdopodobnie przy pomocy psów. Znaleziono 3 miejsca, w których zostały rozszarpane zające — 4 mioty przeszły bez strzału.

Hanusowce: 1929/30, nie polowano z powodów jak w Kozinie. — 1930/31, 6 XII., 17 strzelb, 29 zajęcy.

Towarzystwo Myśliwych:

Czerniejów — Oberża: 1929/30, 23 XI., 17 strzelb, 1 lis, 51 zajęcy; — 1930/31, 3 XI., 19 strzelb, 124 zajęcy, 1 krogulec.

Radcza: 1929/30, 27 XI., 17 strzelb, 31 zajęcy, 1 gołębiarz, 1 kot; — 1930/31, 15 XI., 14 strzelb, 59 zajęcy, 1 pies.

Czerniejów wieś: 1929/30, 5 XII., 17 strzelb, 25 zajęcy; — 1930/31, 20 XI., 18 strzelb, 69 zajęcy, 1 gołębiarz.

Chomiaków: 1929/30, 13 I., 8 strzelb, 19 zajęcy, 1 sowa uszata; — 1930/31, 29 XI., 12 strzelb, 44 zajęcy, 1 lis, 1 dzierżba srokosz.

Zabereże II.: 1929/30, 3 I., 7 strzelb, 19 zajęcy; — 1930/31, 3 XII., 11 strzelb, 36 zajęcy.

delegat
K. Piórkovski

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału Małop. Tow. Łowieckiego w dniu 12 grudnia 1930 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, St. Pieńczykowski, H. Prek, Dr. J. Rosienkiewicz, A. Ulm i Dr. W. Ziembicki, zastępcy członków: St. Jaśkiewicz i St. Madeyski. Nieobecność usprawiedliwili: T. Barański, Dr. A Małaczyński., Fr. Meraviglia i Dr. Fr. Piechowski.

Stwierdzono słaby stan kasy Towarzystwa, spowodowany ogromnemi zaległościami członków. Na tem tle wywiązała się dyskusja, obracająca się około pytania czy można nadal „Łowca" dwa razy w miesiącu wydawać. Przeważyło zdanie, że dla utrzymania aktualności czasopisma i kontaktu z członkami, nie można ograniczać wydawnictwa, a oszczędności należy przeprowadzić w innych wydatkach.

Przyjęto rezygnację delegata Zygmunta Łączyńskiego z powiatu Rawa ruska.

W poczet członków przyjęci zostali: Józef br. Horoch, z Gwoździca starego, powiat kołomyjski i Mieczysław Starzewski ze Lwowa.

Wiceprezes Mniszek i inż. Ebenberger zdali sprawę z konferencji, odbytej w Województwie w sprawie rozszerzenia czasów ochronnych w r. 1931. Konferencja ta odbyła się przy współudziale delegatów Urzędów wojewódzkich, tarnopolskiego i stanisławowskiego.

Wyniki konferencji, a raczej wydane na jej podstawie rozporządzenia Urzędów wojewódzkich, podajemy poniżej.

Lwowski Urząd Wojewódzki
do L. R. L. 3505/1930 r.

Ustanowienie czasów ochronnych dla zwierzyny łownej na rok 1931

We Lwowie, dnia 12 grudnia 1930r.

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody lwowskiego z dnia 12 grudnia 1930 r., L. R. L. 3505 30 r., o ustanowieniu czasów ochronnych dla zwierzyny łownej, obowiązujących w r. 1931 na terenie województwa lwowskiego.

Na podstawie art. 52 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r., o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934) postanawiam co następuje:

§ 1.

Rozszerzam ustawowy czas ochronny:

a) na jelenie byki od 1 stycznia do 31 sierpnia i od 16 października do 31 grudnia, zaczem wolno na nie polować w czasie od 1 września do 15 października 1931 r.

b) na sarny-kozły od 1 stycznia do 15 czerwca i od 1 listopada do 31 grudnia, zaczem polowanie na nie dozwolone jest w czasie od 16 czerwca do 31 paźdz. 1931 r.

c) na zające-szaraki od 1 lutego do 31 października, zaczem wolno na nie polować przez miesiąc styczeń i od 1 listopada do 31 grudnia 1931 r.

d) na bażanty - koguty od 1 stycznia do 31 grudnia, czyli, że nie wolno na bażanty polować przez cały rok 1931.

e) na kuropatwy w powiecie bóbreckim, brzozowskim, dobromilskim, drohobyckim, gródeckim, jaworowskim, krośnieńskim, liskim, lwowskim, przemyskim, rawskim, rudeckim, samborskim, starosamborskim, sanockim, sokalskim, strzyżowskim i żółkiewskim od 1 stycznia do 15 września i od 1 listopada do 31 grudnia, czyli polowanie w wymienionych powiatach na ten rodzaj zwierzyny, jest dozwolone, w czasie od 16 września do 31 października 1931 r.

f) na dzikie gęsi od przylotu do 31 lipca, zaczem wolno na nie polować dopiero od 1 sierpnia.

§ 2.

Dla wszystkich innych gatunków zwierzyny obowiązuje normalny czas ochronny, ustanowiony w art. 49 powołanej ustawy.

§ 3

Rozszerzenie czasu ochrony, wymienione w § 1 a, b, c, d, f, odnosi się do wszystkich powiatów województwa lwowskiego z wyjątkiem rozszerzonego czasu ochronnego dla kuropatw, wymienionego w § 1 e), który dotyczy tylko powiatów w tym paragrafie wyszczególnionych, zaś dla reszty powiatów województwa lwowskiego, obowiązuje normalny czas ochronny, ustanowiony w art. 49 ustawy łowieckiej.

§ 4.

Przekroczenie postanowień niniejszego rozporządzenia podlega karze w myśl przepisów rozporządzenia o prawie łowieckiem z dnia 3 grudnia 1927 r. (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934).

§ 5.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia w Lwowskim Dzienniku Wojewódzkim.

Wojewoda:
Dr. Nakoniecznikow-Klukowski

Wojewoda Stanisławowski
Nr. R. L. 2036/Ło.

Czasy ochronne zwierzyny łownej w roku 1931

Stanisławów, 16 grudnia 1930 r.

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody stanisławowskiego z dnia 16 grudnia 1930 r. o ustanowieniu czasów ochronnych dla zwierzyny łownej, obowiązujących w roku 1931.

Na podstawie art. 52 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r., o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934) postanawiam co następuje:

§ 1.

Rozszerzam ustawowy czas ochronny:

a) na zające szaraki od 16 stycznia do 31 października,

b) na sarny - kozły od 1 stycznia do 15 czerwca i od 1 października do 31 grudnia,

c) na kuropatwy od 1 stycznia do 15 września i od 1 listopada do 31 grudnia,

d) na dzikie kaczki (samice i młode) od 1 marca do 20 lipca.

§ 2.

Dla wszystkich innych gatunków zwierzyny obowiązuje normalny czas ochronny, ustanowiony w art. 49 powołanego wyżej rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie łowieckiem.

§ 3

Rozszerzenie czasów ochronnych, wymienione w § 1, odnosi się do wszystkich powiatów Województwa stanisławowskiego.

§ 4.

Winni naruszenia przepisów niniejszego rozporządzenia, będą karani w drodze administracyjnej na podstawie art. 77 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934) grzywną do 500 zł. oraz aresztem do 6 tygodni.

§ 5.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

p. o. Wojewody:
Jagodziński

Komunikat z Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie

Województwo krakowskie, rozporządzeniem z dnia 19 grudnia 1930 r., L: Ad. I. 323/30, z ważnością od 1 stycznia 1931, rozszerzyło na rok 1931 na terenie Województwa krakowskiego normalny, według prawa łowieckiego, czas ochronny na: zające-szaraki od 15 stycznia do 31 października, dzikie kaczki od 1 marca do 20 lipca i sarny-kozły od 1 listopada do 15 czerwca. — Czasy ochronne na inne łowne zwierzęta i ptactwo na rok 1931, na terenie Województwa krakowskiego pozostają bez zmiany w normalnych granicach ustawowych.

Kraków, dnia 27 grudnia 1930 r.

Prezes: *Stiller*, em. gen. dyw. Sekretarz: *Morawetz*

Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

Przytaczamy poniżej tekst przesłanego do aktów Centrali M. T. Ł., protokołu spisanego w myśl § 5 regulaminu z odbytej uroczystości wręczenia odznaki honorowej p. poster. Franciszkowi Ćwikowi w dniu 7 listopada 1930 r. w koszarach Komendy Pol. Państw. m. Krakowa.

„Obecni na uroczystości poza odznaczonym pp.: em. gen. dyw. Józef Stiller, prezes krak. Oddziału M. T. Ł., nadkomis. Gustaw Ułaszewski, komendant Pol. Państw. miasta Krakowa, komis. Franciszek Prokop, zastępca tegoż oraz Stanisław Morawetz, sekret. Oddziału M. T. Ł.

Podpisany Prezes Oddziału M. T. Ł., zwracając się do p. Franciszka Ćwika, posterunkowego Pol. Państw. przedtem w Limanowej obecnie w Krakowie, zaznacza, że odznaka honorowa nadaną zostaje na wniosek Komendy Wojewódzkiej Policji Państw. w Krakowie przez Małop. Towarzystwo Łow. we Lwowie za specjalne wyróżnienie się przy tępieniu i zwalczaniu kłusownictwa i ochronie łowiectwa. Odznaka ta jako pełny wyraz uznania Małop. Towarzystwa Łow. dla dzielnej pracy około rozwoju kultury łowieckiej, służyć ma jednocześnie jako zachęta do dalszej na tem polu gorliwej działalności. Akt nadania odznaki, w myśl regulaminu, wpisanym zostaje do księgi honorowej odznaczeń Towarzystwa. Po szczególnem podkreśleniu znaczenia łowiectwa, jako leżącego w sferze interesów Państwa i gospodarki krajowej, dziękuje prezes odznaczonemu, imieniem Małop. Towarzystwa Łow., za zasługi około ochrony łowiectwa a Władzom Państwowym za ich życzliwość i poparcie dla łowiectwa, oraz gratuluje odznaczenia i wyraża nadzieję, że chwalebny przykład odznaczonego znajdować będzie upragnionych naśladowców w gronie jego pp. kolegów.

Przy wręczaniu odznaki z dyplomem, przemówił jeszcze krótko z wyrazem uznania i gratulacji dla odznaczonego p. Komendant Policji Państwowej.

Na tem zakończyła się ta piękna i miła uroczystość, dekorowania po raz pierwszy odznaką honorową M. T. Ł. w powiecie krakowskim za sumienną i odwagą nacechowaną służbę na polu ochrony łowiectwa, głównie przez zwalczanie i tępienie kłusownictwa.

Kraków, dnia 8 listopada 1930.

Prezes Sekretarz
Stiller em. gen. dyw. *Morawetz*

APEL DO P. P. MYŚLIWYCH!

Zakład Anatomji Porównawczej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, posiada w swoich zbiorach pewną ilość czaszek naszych lisów krajowych i zamierza przystąpić do opracowania tego gatunku. Do badań tych niezbędnie potrzebną jest wielka ilość materjału, pochodzącego możliwie z największej ilości okolic Polski, a przedewszystkiem czaszek, by móc opracować to zwierzę tak interesujące i ze względów myśliwskich w sposób możliwie wszechstronny. W tym celu zwracam się **do wszystkich Myśliwych** z gorącą prośbą przyjścia z pomocą przez łaskawe nadsyłanie pod niżej podanym adresem **czaszek** zabitych przez nich w tym sezonie myśliwskim lisów. Aby materjał ten mógł być należycie wyzyskany, musi spełniać kilka niezbędnych danych. — Należą do nich: **oznaczenie płci, wieku (tegoroczny lub starszy), wreszcie miejscowości i powiatu, w której został zabity.** Dane te należy wypisać na kawałku papieru lub tektury załączonej do przesyłki. Bardzo pożądane byłoby określenie w kilku słowach barwy futra. Czaszki powinne być obielone i o ile to możliwe pozbawione najgrubszych partyj mięsnych. Przesyłki najuprzejmiej proszę kierować pod adresem Zakładu Anatomji Por. U. J., bądź też niżej podpisanego.

Kraków, św. Anny 6.

Dr. Kazimierz Wodzicki, Docent U. J.

WYJAŚNIENIE

W numerze 24 „Łowca" z dnia 16 grudnia w korespondencjach, umieszczony był wynik polowania w Pieniakach. Redakcja samowolnie dodała bez słów „przypisek redakcji", że w dniu polowania był czas ochronny. Dlatego konstatuję, że o ile polowałem w czasie ochronnym, miałem na to zezwolenie od p. Wojewody.

Pieniaki, 22 grudnia 1930 r. *Stanisław Cieński*

Przyjmujemy z ubolewaniem incydent ten do wiadomości, zaznaczamy jednak, że dopisek dwuch słów „czas ochronny" został umieszczony bez wiedzy Redakcji, która gdyby już uważała za właściwe umieścić ten dodatek, to umieściłaby go jako przypisek swój z podpisem: Red. — Dla uniknięcia na przyszłość podobnych nieporozumień, upraszamy naszych P. T. Korespondentów, by w sprawozdaniach swych z polowań o ileby się one odbywały w czasie ochronnym, powoływali się na pozwolenie odstrzału pewnego gatunku zwierzyny w takim czasie otrzymane przez Władze.

Red.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 24 „Łowca" z 16 grudnia 1930 r. str. 379, w korespondencji z Gnojnika pow. brzeski, w pierwszej szpalcie 13 wiersz od dołu, zamiast słowa czasokresy ma być: **czas ochronny**; 11 wiersz od dołu zamiast słowa obrosnąć, ma być: **dorosnąć** i zamiast słowa odpowiedniejszemi, ma być: **odporniejszemi.**

TREŚĆ NUMERU 1:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16